

Miałem dwa lata, kiedy w 1955 roku dołączyliśmy z mamą do taty, który od roku uczył w Zakopanem. I jak daleko sięgam pamięcią, tajemnicze słowo „szkoła” powtarzało się nader często w domowych rozmowach. Intrygowało mnie owo tajemnicze coś, z czym najwyraźniej bardzo bliski związek miał tata – wyobrażałem sobie, że musi to być coś niezmiernie ważnego, co najwyraźniej wpływa na losy świata – w każdym razie tego, w którym spędziłem szczęśliwe dzieciństwo.

Tata („ojciec” jakoś mi w przypadku taty nie pasuje) zaczął uczyć w Szkole (bez wątplenia należy się jej duże S), z którą związany był przez 14 lat i którą kierował w latach 1959-61.

Podczas wojny i w pierwszych powojennych latach tata brał jak najczynniejszy udział w poczynaniach młodych krakowskich twórców, z których powstała w roku 1946 Grupa Młodych Plastyków skupionych wokół Tadeusza Kantora (między innymi w jego konspiracyjnym teatrze grał Odysa w *Odysie* oraz Skierkę w *Balladynie*). Stali się oni kolebką polskiej powojennej awangardy, korzystając do końca roku 1948 ze względnej wolności artystycznej, czego zwieńczeniem była krakowska I Wystawa Sztuki Nowoczesnej na przełomie lat 1948/49. A potem gwałtownie dokręcono ideologiczną śrubę, ogłaszając obowiązujący w sztuce socrealizm (skądinąd trwał on w Polsce stosunkowo krótko i nie był tak opresyjny jak w wielu innych demoludach). Początkowo „nowocześni” próbowali pogodzić jakoś narzuconą doktrynę z własnym pomysłem na twórczość, ale zdecydowanie się to nie udało – przez następnych niemal sześć i pół roku tata nie zdołał wystawić ani jednego obrazu.

Jak na owe czasy był w nie najgorszej sytuacji – tuż po wojnie zaczął uczyć rysunku studentów architektury, co było jednak niezbyt pasjonującym zajęciem. Mimo śmierci Stalina sytuacja z wolnością artystyczną wyglądała w 1954 roku nadal ponuro, a perspektywy rysowały się marnie – zazdrozczono zakopiańskiej szkole, jedynej może w Polsce enklawie (względnej jednak) artystycznej i pedagogicznej swobody, jaką zdołał wywalczyć dla niej Kenar. Tak zatem rodzice postanowili przenieść się do Zakopanego i tata z początkiem roku szkolnego 1954 został nauczycielem w Państwowym Liceum Technik Plastycznych w Zakopanem.

Nie była to dla niego w żadnym wypadku ucieczka w nieznane, a raczej swego rodzaju powrót, Zakopane bowiem, obok Krakowa gdzie dorastał, było najlepiej mu znanym i oswojonym miejscem czasów dzieciństwa i wczesnej młodości. Niedługo po pierwszej wojnie jeden z lwowskich szwagrów babci kupił, czy też wybudował tu okazałą willę, w której w roku 1923 zamieszkał wraz z żoną na stałe jeden z jej braci, Tadeusz Koniewicz; korzystali z niej również dziadkowie z synami, spędzając tu niemal co roku dużą część letnich wakacji, a często również zimowe ferie.

Koniewicz bardzo prędko okazał się jedną z ważniejszych postaci animujących w okresie międzywojnia nader wówczas bogate życie towarzyskie, kulturalne i sportowe Zakopanego (odsyłam do wspomnienia o nim Kornela Makuszyńskiego:

<http://biblioteka.kijowski.pl/makuszynski%20kornel/kartki/skrzydlaty.htm>). Dzięki niemu tata

miał szczęście spotkać osobiście wiele z niezwykłych, często dziś legendarnych postaci związanych z tym miejscem.

Myślę, że gdy powrócił tu, by uczyć w „kenarze”, bardzo prędko poczuł, że jest to jego miejsce na Ziemi. W każdym razie, kiedy w roku 1961 miał wystawę w Paryżu i któraś z telewizji francuskich nadała program poświęcony zagranicznym artystom eksponującym właśnie swoje prace w paryskich galeriach, kiedy zadano im pytanie, czy chcieliby zamieszkać tam na stałe, wszyscy (było ich bodajże dwunastu) odpowiedzieli, że o tym marzą, jedynie tata odparł, że oczywiście wspaniały Paryż mocno kusi, on jednak woli swoje Zakopane.

Pierwszy rok spędził tu samotnie – mama wraz ze mną dołączyła do niego po wakacjach w roku 1954, kiedy udało się znaleźć dla nas wszystkich mieszkanie. Zamieszkaliśmy przy Drodze do Olczy 22 g (przecnicę dalej niż ulica nosząca obecnie imię taty) zajmując parter niezbyt dużej drewnianej willi „Kaprys”, za którą w stronę Cyrhli ciągnęły się wówczas, jak okiem sięgnąć, puste łąki i lasy. Niedługo potem znalazł pracownię w pobliskiej góralskiej chałupie, kawałek dalej w stronę Olczy. A było to miejsce niezwykle, przywodzące na myśl raczej pracownię szalonego alchemika.

Podobno kiedy pojawił się w Szkole, Kenar – nie bez racji ostrożny – przyjął go, delikatnie mówiąc, bez entuzjazmu, złorzecząc, że znowu mu jakiegoś „miastowego dupka” nasłali czy coś w tym rodzaju. Prędko jednak zmienił zdanie, stwierdzając, że „Jeden Tadzio rozumie o co mi chodzi”, o czym pisała pani Halina Kenarowa, skądinąd należąca do najbardziej zasłużonych dla Szkoły postaci. Jeśli idzie o tatę, Szkoła, w której uczył rysunku w najstarszych klasach, stała mu się natychmiast bardzo bliska. Myślę, że po raz pierwszy w życiu zaczął odczuwać prawdziwą satysfakcję pedagogiczną i zrozumiał, że obok własnej twórczości nauczanie jest jego powołaniem. Często powtarzał w rozmowach i wywiadach, że po prostu musi uczyć.

Antoni Kenar zauroczył go bez reszty („Nigdy nie widziałem czegoś takiego z taką pasją!"). Przy każdej możliwej okazji wspominał, że jako pedagog od niego właśnie przejął podstawy swej własnej metody (myślę, że – tak jak w przypadku Kenara – można mówić o „metodzie nauczania Brzozowskiego”).

W równym stopniu zauroczyła go Szkoła wraz z swoją atmosferą, nauczycielami, metodami nauczania, uczniami, a przede wszystkim ich twórczością. Swoją drogą, przez długie lata nauczanie w „kenarze” było powodem do chwały, a bycie jej uczniem swego rodzaju nobilitacją.

Ze Szkoły ciągnąłem zresztą osobiste zyski. Kiedy wszedłem – jako chyba sześciolatek – w okres „rycerski”, wykonano tam dla mnie na miarę półpancerz z *papier mâché* oraz drewniany koncerz, pięknie na srebro malowane.

Pod koniec lat 50. za sprawą „odwilży” Polska stała się modna w świecie, a przynajmniej w

Europie, Zakopane zaś było jednym z kilku miejsc, które należało odwiedzić. Nie ryzykuję wiele, twierdząc, że w tamtych latach Szkoła – obok Wielkiej Krokwi – była najsłynniejszą tutejszą instytucją.

Zakopane w owym czasie bardzo niewiele różniło się od tego sprzed wojny. Żył jeszcze wówczas wiele legendarnych przedwojennych zakopiańskich postaci, skądinąd przez długie lata (nie wiem, jak sytuacja wygląda obecnie) mieszkalo tu i tworzyło najwięcej w Polsce artystów w stosunku do liczby mieszkańców.

Często odwiedzali nas w domu – przed albo po obejrzeniu pobliskiej pracowni taty i Szkoły – goście, z którymi rozmowa toczyła się po francusku lub niemiecku (obu tych języków tata używał całkiem swobodnie); imiennie zapamiętałem tylko jednego, Willema Sandberga, wówczas dyrektora Stedelijk Museum w Amsterdamie – miał siwą czuprynę podobnie jak Kenar, ale zapamiętałem go, miał bowiem w wiecznym piórze brązowy atrament, co zrobiło na mnie, nie wiadomo czemu, piorunujące wrażenie. O wiele więcej było oczywiście preferowanych przeze mnie gości, których prowadzone po polsku rozmowy mogłem swobodnie podsłuchiwać.

Wiem, że między innymi zwiedził Szkołę Jean Cassou, ówczesny dyrektor paryskiego Musée d'Art moderne, który wyrażał się potem o „kenarze” i Kenarze-pedagogu z niesłychanym entuzjazmem.

Z „dyrektorowaniem” w Szkole związane też bywały rozmaite dziwne obowiązki. Na przykład przy okazji odwiedzin chińskiego wiceministra kultury trzeba było natychmiast powołać w Zakopanem Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Chińskiej – tato został jego prezesem, a Szkoła tzw. „członkiem zbiorowym”; podobno dziennikarze widząc go koło ministra, pytali, który to ten Chińczyk.

Pod koniec 1961 roku tata z ulgą pozbył się kierowania Szkołą. Z ulgą, zajmowało to bowiem mnóstwo czasu, którego brakowało mu na malowanie. Od tej pory spędzał tydzień w miesiącu w Poznaniu, gdzie wykładał na PWSSP (obecnie ASP). Do roku 1969 nadal uczył w „kenarze”, ale jedynie 14 godzin w miesiącu, miało to zatem charakter raczej symboliczny. W roku 1964 zamieszkaliśmy przy ul. Grunwaldzkiej, a rok wcześniej rodzice „wywalczyli” wspólną pracownię przy Alejach 3 Maja. Wówczas były to Aleje 1 Maja, a skoro już jesteśmy przy tej dacie, pamiętam jak tata zabrał mnie na pochód pierwszomajowy (chyba nie był już wtedy dyrektorem). Ogromnie mi się to spodobało i rozpierała mnie radość i duma, nie wiadomo z czego. Pogoda była piękna, wyruszyliśmy spod Mariloru, podążając powoli w stronę stadionu przy ulicy Orkana, dołączały do nas po drodze inne okoliczne reprezentacje, wszystko przebiegało płynnie, aż nagle, gdy dotarliśmy do bramy stadionu, okazało się, że nie chcą nasz wpuścić. I staliśmy tak z niepojętych przyczyn całkiem długo. Okazało się, że szkoła Kenara niosła na czele transparent z hasłem „Nasze miasto Zakopane”

zamiast jakiegoś socjalistyczno hasła i trwały narady, czy z czymś takim możemy brać udział w uroczystościach (w końcu nas wpuszczono).

Wiem, że jako małe dziecko kilkakrotnie spotkałem Kenara, ale wspomnienia o tym spowija bardzo gęsta mgła. Za to pamiętam dokładnie niczym fotografię, jak pewnego popołudnia siedzieliśmy w kuchni, w pokoju zadzwonił telefon, a po chwili tata pojawił się w drzwiach i powiedział załamującym się głosem: – Antek nie żyje.

Pamiętam zapach drewna wypełniający pracownię rzeźbiarską w budynku, który Szkoła dzieliła z „budowlanką” i wielki pień czarnego dębu, który spoczywał tam na zewnątrz pod zadaszeniem, czekając aż przemienią go w rzeźby czy fragmenty mebli.

Pamiętam szalony pochód karnawałowy, chyba w roku 1961. Była już noc i pochodnie, uczniowie poprzebierani byli z niezwykle fantazją (ale i tak najlepiej pamiętam tego, który przebrany był za kowboja).

A przede wszystkim pamiętam wielu artystów z kilku pokoleń związanych ze Szkołą. Renoma niektórych z nich przekraczała i przekracza granice Polski czy nawet Europy. Ale jako że moje wspomnienia o nich niepomniernie rozszerzyłyby ten tekst, postanowiłem przewrotnie przypomnieć tu tylko o dwojgu niezwykle ważnych dla „kenara” i dla mnie postaci – o pani Irenie Grabowskiej i panu Edmundzie Strążykim.

Pani Irena, urocza starsza pani mieszkająca na poddaszu Mariloru, nauczała języków obcych, prowadząc jednocześnie szkolną bibliotekę (nawiasem mówiąc, z początkiem lat sześćdziesiątych – między innymi dzięki zagranicznym kontaktom taty, a przede wszystkim dzięki hojności Kazimierza Romanowicza z Paryża – biblioteka ta dysponowała całkiem pokaźnym zbiorem aktualnych wydawnictw o sztuce ze świata). Była, bez przesady, uwielbiana przez uczniów i, z racji częstych wówczas odwiedzin w „kenarze” rozmaitych ważnych obcokrajowców, niezmiernie przydatna dla Szkoły.

Kiedy z okazji siedemdziesiątych którychś jej urodzin uczniowie zaczęli podrzucać ją z entuzjazmem, zawołała: „Uważajcie chłopcy, bo ja mogę już nie wrócić...”.

Jej ojciec, Seweryn Kniaziółucki, zajmował na dworze cesarskim w Wiedniu wysoką pozycję – pamiętam jej opowieść o tym, jak „dworskie dzieci” zakładały się między sobą o to, kto ile razy zdoła otrzeć się o Franciszka Józefa w czasie oficjalnych uroczystości. Pewnego razu wybraliśmy się wraz z nią do cyrku; kiedy na arenie pojawił się bardzo stary Hindus i słoń, po którym nie było widać wieku, pani Irena nagle się ożywiła i oświadczyła: „Słuchajcie, ja ich znam!”. Po przedstawieniu odwiedziła słoń i Hindusa, który przypominał sobie małą dziewczynkę, z którą zaprzyjaźnił się przed ponad pół wiekiem, kiedy to miał zaszczyt występować dla wiedeńskiego dworu. Również słoń okazał się ten sam co wtedy.

Pan Edmund Strążyski był zaprawdę niezwykle postacią (odsyłam do Wikipedii). W Szkole uczył polskiego i wystawiał awangardowe przedstawienia (mam w pamięci obrazy jednego z nich, które oglądałem z tatą w Marilorze z wewnętrznego balkonu – było to dla mnie niezwykle przeżycie). Prędko zaprzyjaźnili się z tatą, a że mieszkał wraz z żoną przy Drodze do Olczy kawałek dalej niż nieodległa od domu pracownia taty, widywałem go często i był dla mnie istotną częścią codzienności. Dom państwa Strążyskich zbudowany był tak, że z przemieszkującym w Witkiewiczówce Witkacym umawiali się na spotkania przy pomocy sygnałów świetlnych, bo też przez dłuższy czas zajmował trzecie miejsce na liście przyjaciół Witkacego (Witkacy prowadził coś takiego). Tu anegdota o tacie, który starał się (z powodzeniem) wylansować niemal nikomu nieznaną twórczość plastyczną pana Edmunda. Zorganizował w Zakopanem jego wystawę (był to chyba początek lat sześćdziesiątych); umówił się też z ekipą telewizyjną u państwa Strążyskich. Wszystko, co wiązało się z telewizją wzbudzało w owych czasach ogromne podniecenie, kiedy więc pojawił się z powrotem w domu (a był to wtorek), podekscytowana mama natychmiast zapytała: „No i jak?! Jak było?!”; „Wspaniale – odparł tato – zakąski, barszczyk, indyk, wino, wódeczka, a jakie desery!”. „No, ale telewizja?”; „A nie, to widzisz, pomyliłem się – ja się z nimi umówiłem na piątek”.

*

Co prawda tata uczył formalnie rysunku odręcznego, ale jestem przekonany, że przede wszystkim starał się przekazać uczniom na czym polega „niesłuchanie prawdziwe kłamstwo sztuki,, i że „tam, gdzie jest sztuka, nie może być nuda, zaś tam gdzie jest nuda, nie ma mowy o sztuce”. I jeszcze: „Najbardziej boli brak pewności, czy to co robię, ma sens – czy to jest dobre. Jedynym wyjściem jest wtedy słuchać swego serca. To właśnie Antek Kenar ciągle powtarzał: Rób tak, jak ci serce każe. I to jest chyba w człowieku najważniejsze – intuicja. I sumienie” – by sięgnąć po jego słowa z jakichś wywiadów.

Wawrzyniec Brzozowski